ŁOWIEC POLSKI

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Organ Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Ogólnego zbioru Nr. 173.

№ 11. | Warszawa, 1 czerwca 1906 r. | Rok VIII.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na końcu tekstu.



Kaczory.

Przegląd krajowych ssaków łownych.

(Ciąg dalszy).

Wydra (*Lutra vulgaris*) należy do zwierząt, bardzo w naszym kraju rozpowszechnionych. Trzyma się zawsze w blizkości rzek, jezior lub stawów. Rezydencyę swoją obiera sobie zwykle w norze, której jeden wylot prowadzi do wody, a drugi—mniejszy i głównie dla wentylacyi zrobiony, mieści się na lądzie. Nora taka posiada rozszerzenie, służące za legowisko dla wydry.

Budowa tego zwierzęcia jest znakomicie dostosowana do życia w wodzie: całe ciało jest smukłe i nadzwyczaj giętkie, nogi płetwami obdarzone, a sierć niełatwo podlegająca zmoczeniu. To też wydra czuje się w wodzie, jak w swym żywiole, a zwinność jej i szybkość ruchów jest prawdziwie zdumiewająca. Nic więc dziwnego, że zwierz ten najbystrzejsze ryby, jak np. łososia i pstrągi, bez trudu w wodzie bierze.

Ryby stanowią najulubieńszy pokarm wydry; pozatem jednak nie pogardza ona żabami, szczurami wodnemi, ptactwem, jajami ptasiemi, słowem wszelkim pokarmem zwierzęcym, który jej się tylko dostanie. Czy jada strawę roślinną w dzikim stanie, tego nie wiem; chowana jednak przezemnie, chętnie zjadała niektóre owoce, a najlepiej lubiła kawon, którym się wprost przejadała, co bodaj nawet było przyczyną jej śmierci.

Wszystkim rybakom znane są straszne spustoszenia, jakie wydra w gospodarstwach rybnych wyrządza, dzięki czemu wypowiedziano jej wszędzie wojnę eksterminacyjną. Ci jednak, którzy na nią polowali, wiedzą, jak trudno jest zwierza tego upolować. Obdarzona znakomitym węchem, słuchem i wzrokiem, przy wielkim zasobie sprytu i inteligencyi, wydra szczęśliwie zwykle unika zasadzki, lub zastawionych na nią żelaz. A przytem zwierz to włóczący się nieustannie, przebywający w noc jednak znaczne przestrzenie, co niewątpliwie trudność spotkania powiększa.

Najbardziej rozpowszechnione sposoby polowania na wydry są: z zasadzki lub też z psami gończemi, specyalnie do polowania na wydry tresowanemi. Ponieważ wszystkie te sposoby łowów opisuje w specyalnym artykule brat mój, August, więc odsyłam czytelników moich do tej pracy. Dodam tylko, że w niektórych razach żelaza talerzowe, umiejętnie zastawione pod wodą, lub na przesmykach, któremi wydra zwykła chodzić, oddają rzetelne usługi.

Futro posiada wydra dość cenione. Używa się go na kołnierze do bekiesz męzkich, lub na mufki do polowania.

Gryzonie (*Rodentia*).

Bóbr (*Castor fiber*) zamieszkiwał ongi niemal całą Europę, lecz jako zwierz, lubiący w najwyższym stopniu spokój, powoli ustępował przed naporem cywilizacyi i dziś trzyma się jeszcze tylko gdzieniegdzie w Zachodniej Europie, zdala od zgiełku ludzkiego. Tak np. we Francyi można jeszcze spotkać bobry w dolnych częściach Rodanu, pomiędzy ujściem tej rzeki a mostem Saint-Esprit, a w Niemczech trafiają się jeszcze te zwierzęta w niektórych dopływach Elby. U nas, w Królestwie Polskiem, jeszcze lat temu czterdzieści mówiono o pojedyńczych bobrach, żyjących nad brzegami Narwi, na Kurpiach, lecz i tu, zdaje się, wytępione zostały doszczętnie. Natomiast bobry trzymają się jeszcze na Litwie, na rzece Szczarze (dopływ Niemna), oraz na Prypeci i jej dopływach; a na Polesiu ukraińskiem sam widziałem roboty bobrów na rzece Teterowie, w powiecie radomyskim, gdzie się osiedliła jedna para i, dzięki ochronie, trzyma się tam dotychczas i rozmnaża. W każdym razie jest to zwierz, który prędzej czy później zaginąć musi, mimo ochronne prawa, jakiemi wszystkie kraje cywilizowane starały się go otoczyć, gdyż z rozrostem ludności coraz mniej spotyka się miejscowości, w których bóbr mógłby znaleźć pożądany spokój. Dzisiaj zwierz ten spotyka się jeszcze w większych ilościach, w mało dostępnych, dzikich okolicach Syberyi, oraz Ameryki, lecz i tam liczba jego szybko się zmniejsza, dzięki systematycznemu tępieniu. Sama Kanada przez dwa z górą wieki eksportowała około 4,000 skór bobrowych rocznie.

Z łowów głuszcowych na Polesiu.

PUDŁO.

(Dokończenie).

— Czy pamiętacie, panoczku — zapytuje mego męża—jak to my dawniej bywało, polujemy? Jedziemy bywało, do lasu na całe trzy dni, taszczymy ze sobą ogromny wóz, a w nim prowizye, i samowar, i siano dla koni, i czort znaje co. Człowiek naje się czterech, ośmiu kartofli, wyda sześćdziesiąt rubli, a do domu wraca z jednym, nieszczasnym głuszcem.

— Pamiętam, pamiętam — odpowiada mąż mój — a teraz, Morozie, opowiedz no pani o tym myśliwym, któremu chłop strzelbę ukradł na polowaniu. (A trzeba wiedzieć, że to ulubiona bajeczka starego gaduły).

Ten zaś, pyknąwszy parę razy ze swojej lulki i poprawiwszy szalik na szyi, tak zaczyna.

— A więc był sobie jeden pan, który tak lubił polowanie, jak pan i pani, tylko, że nigdy nikogo ze sobą nie brał do lasu i bywało, jedzie sobie sam jeden na głuszca. Raz tedy pojechał ten pan na polowanie, a od dworca do miejsca, gdzie głuszec śpiewał, tak było daleko, jak od wsi Bryniowskiej do Zielonki (wskazując na uroczysko, znajdujące się o paręset kroków od naszego obozu). Przyjeżdża więc pan na to miejsce, kładzie strzelbę na trawie i zaczyna zbierać suche gałęzie, żeby sobie ogień rozpalić. Wtem słyszy szmer po za sobą, odwraca się i widzi nieznajomego, który się do niego zbliża.

— Dobry wieczór.

— Dobry wieczór.

— A pan tu nocuje?

— Nocuję.

— Ja także, to będziemy przy jednem ognisku siedzieli.

Chłop pomaga panu znosić suche gałęzie, rozpala mu ogień, a gdy usiedli, bierze strzelbę pana do ręki, a obejrzawszy ją na wszystkie strony, powiada:

— Ot horoszaja strelba, horosza.

Przykłada kolbę do twarzy, bierze niby ptaka na cel, a kiedy pan na chwilę się odwrócił, chłop w nogi i już po strzelbie. Pan wstaje i probuje chłopa popędzić, ale noc ciemna, droga mu nieznana, a tamten jak ucieka, tak do dziś dnia ucieka.

Moroz skończył swoją bajeczkę, z której serdecznie się uśmiałam, a tu przez ten czas zaświtało, rozpierzchły się powoli nocne ciemności, czepiając się gdzieniegdzie wierzchołków drzew, nakształt wielkich szmat żałobnej zasłony. Tu i owdzie przeziera przez nie wąziutki skrawek ołowianego nieba. Gasimy więc ogniska, żeby pożaru w lesie nie wzniecić, i posuwamy się powoli.

Z początku idziemy utartą drogą, wiodącą przez las pomiędzy szpalerem wspaniałych, srebrzystych

Bóbr trzyma się zawsze nad brzegami wód, które jego naturalny żywioł stanowią. Główne pożywienie jego stanowi kora różnych drzew, z pomiędzy których wybiera większe gatunki, jak wierzby, topole, olchy, jesiony; rzadziej bierze się do dębów lub wiązów, posiadających drzewo twardsze. Gdyż trzeba wiedzieć, że bóbr nigdy nie objada kory na drzewie stojącem, lecz je najprzód ścina, a dopiero wtedy z kory gałęzie ogałaca. Sądząc z tego, że w chatach bobrowych znajdowano często znaczne zapasy korzeni lilij wodnych, przypuszczać można, że i te korzenie służą im za pokarm.

Wszyscy zapewne słyszeli opowiadania o chatach, które bobry na siedzibę swoją budują. Zwykle takie chaty są opisywane jako budowle kopulaste, zrobione z gałęzi drzew, a następnie oblepione mułem i gładko, jakoby ogonem, na powierzchni wyrównane. Wewnątrz mają się znajdować dwie izby, z których jedna pod wodą, a druga nad jej powierzchnią. Ponieważ miałem sposobność jedną taką chatę oglądać, więc ją opiszę bliżej, aby dać czytelnikom pojęcie o ile powyższe opowiadania są blizkie prawdy.

Przed kilkunastu laty, bawiąc u p. Piotra Ordy, w majątku Perekale, na Pińszczyźnie, dowiedziałem się, że w odległości czterech godzin jazdy łodzią od dworu znajduje się chata bobra, który, na krótki czas przed mojem przybyciem, został przez chłopów zabity. Wziąwszy więc aparat fotograficzny, udałem się tam łodzią, a po kilkugodzinnej podróży, wśród niezmierzonych błot pińskich, znalazłem się na miejscu.

Chata znajdowała się na samym brzegu jednego z tych niezliczonych kanałów, czy zalewów, które niewiadomo, czy za rzekę brać można, gdyż prądu prawie nie mają. Wystawała ona nad wodą mniej więcej na metr wysokości, a za oś posiadała pień, ścięty przez bobra, dość grubej olchy. Cała była zbudowana z niezbyt grubych i długich średnio na łokieć patyków, starannie z kory ogryzionych, a tak ze sobą misternie poplątanych, że, aby dach, a właściwie kopułę, rozebrać, musiałem stracić, wraz z człowiekiem moim, blizko pół godziny czasu. Gdyśmy to zrobili, dostaliśmy się nareszcie do sporej izby, od której kanał prowadził skośnie w dół, mając swój wylot pod wodą, jakkolwiek samo dno kamery znajdowało się ponad wodą. Tak więc owa chata bobra przedstawiła mi się, jako kupa chróstu, z jedną tylko, a nie dwiema — kamerami i z jedynym wylotem pod wodą. Śladu mułu nie widziałem, a jeżeli trochę jego było, to chyba naniesionego przez wielkie wody w czasie powodzi.

Tu jednak zrozumiałem potrzebę konstrukcyi, wyżej opisanej. Bóbr może się w takiej chacie oddawać wywczasowi na suchem miejscu, w najzupełniejszem bezpieczeństwie, bo zanimby człowiek rozebrał górną część, aby się do kamery dostać, zwierz najspokojniej, za pierwszym znakiem niebezpieczeństwa, może się wynieść niepostrzeżenie do wody.

Bóbr jest ceniony dla dwu przyczyn: dla futra i dla t. zw. *stroju bobrowego* (*castoreum*). Sierć bobra składa się z dwu gatunków włosa: jeden długi i szczeciniasty, a drugi krótki i puszysty, pod pierwszym ukryty. Przy wyprawianiu na futra włos długi się usuwa, a pozostawia tylko sierć puszystą. Tego rodzaju skórki, znane pod nazwą bobrowych, są bardzo w handlu cenione i używane prawie jedynie na kołnierze do algierek i palt męzkich. Futro bobrowe należy odróżniać od niewłaściwie nazwanego boa morskiego, który jest gatunkiem wydry morskiej (*Enchydris marina*), dającej jedno z najdroższych futer na świecie.

Strój bobrowy jest sekrecyą parzystego gruczołu, umieszczonego na tylnej części brzucha w sąsiedztwie odchodka. Jest to substancya miękka, mazista, koloru czerwono brunatnego, żółto-brunatnego, lub czarno-brunatnego, posiadający ostry, nieprzyjemny zapach. Jako środek wysoce ekscytujący, był niegdyś w medycynie nadzwyczaj ceniony, przypuszczano bowiem, że umierającym życie przywraca. Dzisiaj lekarskie jego znaczenie upadło bardzo, niemniej jednak używanym bywa w medycynie w niektórych wypadkach. Dodać muszę, że strój bobrowy, pochodzenia syberyjskiego, jest więcej ceniony, aniżeli amerykański.

Jan Sztolcman.

(*C. d. n.*).

---

brzóz, które tworzą jakby środkową nawę wielkiej, niebotycznej świątyni, lecz uszedłszy kilkadziesiąt kroków, skręcamy na prawo i już idziemy bez śladów, zdając się całkiem na łaskę Mikołaja, który ma nas podprowadzić do tokującego głuszca. Las teraz powoli się ożywia, zamiast puhacza, wilka, drobne ptaszki szczebiocą, przeskakując z gałęzi na gałąź. Z poblizkich błot słychać beczenie kszyka, tam znowu frunęła kaczka, a żórawie zwiastują swym krótkim, urywanym krzykiem rychłe nadejście zorzy. Głuszca jeszcze nie słychać. Co chwila przystajemy, nasłuchując, a nuż się odezwie, lecz ten trwa w uporczywem milczeniu. Już zaczynamy powątpiewać o pomyślnym rezultacie naszej nocnej wyprawy, gdy wtem dochodzi do nas ciche, ledwo dosłyszalne, jakby stukanie dzięcioła o korę drzewa. Stajemy na miejscu, jak wryci, tamując oddech, i wytężamy wzrok ku drzewu, na którem zdaje się nam, że ptak śpiewa. To drzewo jednak od nas daleko, choć kłapanie z każdą chwilą staje się wyraźniejszem. Widać wszakże, iż głuszec ma się jeszcze na ostrożności, gdyż w połowie kłapania nagle urywa, ucicha, by znowu po chwili rozpocząć; zachęcony jednak ciszą, panującą dokoła, odważa się na pierwszą próbę swego charakterystycznego śpiewu, tak zwaną pieśń, mile łechcącą ucho nasłuchującego myśliwca.

Mąż mój wyrusza naprzód, ze strzelbą na ramieniu, za nim ja pędzę, podskakując, z Morozem, pochód zaś zamyka Mikołaj. Krótkość mego stroju, oraz siedmiomilowe buty, dozwalają mi robić olbrzymie skoki; skaczemy więc i przystajemy, stosując się do śpiewu głuszca. Przeskakujemy przez kłody, zawadzamy o pnie, łamiemy gałęzie pod nogami, lecz nic nie jest w stanie powstrzymać nas w gorączkowych zapędach. Wtem słyszymy chlupanie wody. Aha, to bród, który przebywa w tej chwili mój mąż. Już pragnę iść za jego przykładem, gdy mnie Moroz chwyta za ramię i szepcze mi do ucha:

— Stójcie, pani, bo inaczej spłoszycie głuszca i poleci.

A rękę ma żelazną, gdyż w żaden sposób wyrwać mu się nie mogę i skazana jestem stać nad brzegiem kałuży, podczas gdy mój mąż coraz dalej brnie w wodzie. Gdy wreszcie dostał się na suche miejsce, głuszec raptownie pieśń swą urwał i milczy, jak zaklęty. Mnie się już na płacz zbiera, gdyż przeczuwam smutne rozwiązanie naszej myśliwskiej wyprawy, i w duchu obmyślam, jakby to ukarać mego męża za ohydną zdradę, której się dopuścił względem żony, lecz brak mi jakoś konceptu.

A tu już dawno zorza zakwitła na niebie, taka różowa, prześliczna.

— Musi być, nic z tego polowania nie będzie — szepcze znowu Moroz, głową kiwając.

Wtem kłapanie daje się znowu słyszeć, zrazu wolne, ostrożne, potem nieco przyspieszone, i kończy się zwykłym śpiewem. Jednocześnie rozlega się odgłos strzału, który echo niesie od drzewa do drzewa.

Jak leczono psy sto lat temu.

(*Ciąg dalszy*).

O złamaniu nogi.

Jeżeliby przypadkiem pies nogę złamał, potrzeba najrychlej ją nastawić, odłamy potrzaskanej kości ułożyć i wziąć w leszczotki. W czasie kuracyi na poyle lub płynnem jadle, psa utrzymać. Wielu myśliwych podaje rozmaite maści do smarowania członków w miejscu tem, gdzie są złamane, mniemając, że one są zdolne przyspieszyć zarośnienie kości. Wszelako ta rada nie ma żadnej zasady: gdyż w gojeniu kości złamanych, to jest ogólne z doświadczenia wyciągnione prawidło, aby one, ile można, najdłużej po pierwszem opatrzeniu niewzruszone zostały. Pytam więc, jak można temu prawidłu uczynić zadosyć, chcąc maści do leczenia używać?

Po opatrzeniu stosownem, całą baczność myśliwy na to najbardziej powinien zwrócić, aby zapalenie w członku do nadto wysokiego stopnia nie doszło, a przeto na samym początku nigdy nie szkodzi użyć okładania z wody zabielonej ekstraktem ołowianym lub octem, które mają własność wyciągania ognia.

O skaleczeniu podeszwy u nóg, albo miądzy palcami.

Gdy pies chromie, chociażby widocznego nie było zastrzemu, ani szarpnięcia, należy jednak ściśle wyegzaminować podeszwę i skórę między palcami, oraz całe członki: często się bowiem zdarza, zwłaszcza polując w miejscach suchych, kamienistych, albo wytrzebionych, że się psy podbijają lub kaleczą skórę około pośladków i kolan. W przypadku podbicia się, należy wcześnie zapobiegać chorobie: do czego służy obmywanie nogi obrażonej wodą zimną, albo jej zanurzenie w mieszaninie, złożonej z rozbitego białka od jaja i czwartej części sadzy, rozprowadzonej octem, kilka razy na dzień, lub smarowanie i okładanie tem lekarstwem.

Każdego razu powracając z pola w czasie jesiennym, kiedy właśnie praktyka myśliwska zwykła być największa, a przeto i praca najcięższa dla psów, należy staranność mieć o ich nogach, aby nie okaleczały: przeto każdego razu trzeba je opatrzeć i co się znajdzie obrażonego, natychmiast temu zaradzić.

O prowadzeniu suki po odłączeniu szczeniąt.

Po wyszczenieniu się suki, gdy nie masz zamiaru hodować szczeniąt, zwyczajnie one się topią. Ale suka niekiedy od przybywającego mleka ulega obrzękłości cycek; w takim razie zbyteczną irritacyę poskramia smarowanie cycek gliną, rozprowadzoną octem. Wtenczas należy sukę utrzymać w miejscu ciepłem i póty nie używać do pola, póki obrzękłość mleczna nie ustąpi.

O kolkach i rznięciu.

Gdy pies jest napastowany od wiatrów ze rznięciem w kiszkach, wówczas bywa niespokojny, skowycze, rzuca się w różne strony, niekiedy się targa i brzuch kąsa, a za przyłożeniem ręki do brzucha daje się słyszeć mocne burczenie w kiszkach. Pochodzi to niekiedy od zaziębienia i ze złego pokarmu.

Zacząć należy kuracyę od wyczyszczenia żołądka przez lewatywy z ziół rozwalniających, jakiemi są ślaz i sole. Albo za pomocą lewatywy, zrobionej z wody, w której się roztapia świeca łojowa. Po użyciu tego środka należy psa na powrozku przeprowadzić, nim się skutek przeczyszczający nie pokaże: co zwykło bywać w pół godziny.

O ukąszeniu od gadziny.

Skoro pies od gadziny zostanie ukąszony, natychmiast trzeba członek, jeżeli to być może, pod i nad raną, przewiązać i około rany w kilku miejscach skórę lancecikiem przeciąć i alkali lotnym równie ranę sztuczną, jako i od ukąszenia zalać. Później, aby puchlinie zapobiedz, miejsce ukąszone, mieszaniną z wody i mydła i nieco wódki, trzy razy najmniej w dzień wymywać. Do szklanki herbaty z kwiatu bzowego dodać kropel trzy alkali lotnego (spirytus ammoniacalis) i wlać psu w gardło.

Także dobrze skutkuje smarowanie miejsca ukąszonego zagrzaną oliwą po kilka razy w dzień, albo przykładanie płatka do rany, napojonego oliwą. Jeżeli puchlina znaczna nastąpi i pies doświadczy gorączki, wtenczas zrobić zalewanie do gardła z kwaterki czystej oliwy.

Środek ten nietylko zwierzętom, lecz i ludziom jest pomocny.

O strąceniu, czyli wywinięciu łopatki.

Wywinięcia przyczyna najczęściej bywa gwałtowne uderzenie w staw członka, od czego pies doświadcza wielkiego bólu, chromie, albo z trudnością tym członkiem włada. Najczęściej ten przypadek trafia się psom podczas przeskakiwania przez płot, doły, lub zawały w lesie.

Postrzegłszy, że pies chromie i za dotknięciem się chorego miejsca skowycze i że znajduje się obrzmiałość mniej więcej znaczna, miejsce chore wódką z mydłem natrzeć, kilka razy na dzień powtarzając i utrzymując psa w cieple i spokojności.

Jeżeliby ten środek mniej się skutecznym okazał, a przeto ból coraz się powiększa, wówczas psu z przeciwnej strony, dla odciągnięcia zapalenia, krwi upuścić należy, a miejsce chore gliną, octem zarobio-

---

Załopotało coś w gałęziach: to głuszec zerwał się i poleciał „ze wszystkiem“, jakby powiedział Moroz.

Na ten widok skamieniałam z oburzenia. Jakto! więc mąż mój pozbawił mnie tak wielkiej przyjemności, jaką jest strzał do głuszca, a sam tak nieprzyzwoicie spudłował. Napadam naturalnie na Moroza, który najwięcej zawinił w tej całej sprawie, a mąż mój, dowiedziawszy się, że strzelec przez bród mnie nie puścił, dał mu także porządną nauczkę. Na to on ruszył ramionami swoim zwyczajem, a splunąwszy dwa razy, odparł filozoficznie:

— Moroz zawsze winien, coby się nie stało. Byłbym z panią skakał przez bród, a ptaka spłoszył, pan by się na mnie równie gniewał. Pan spudłował, a głuszec poleciał, to także wina Moroza. Niech i tak będzie.

Wsiedliśmy znowu na bryczkę, wszyscy markotni tym razem; w drodze jednak obmyśliłam karę na mego małżonka i muszę przyznać, iż wielką mi to sprawiło satysfakcyę.

— Wiesz co, mój drogi — rzekłam — zwracając się do niego, otóż zemszczę się na tobie za to nieudane polowanie, opisując twoje pudło w „Łowcu Polskim“, niech się o niem wszyscy przynajmniej dowiedzą.

Widzicie więc, szanowni czytelnicy, że ja przynajmniej obietnicy swej dotrzymałam.

Lela Kieniewicz.

Bryniów, 12 kwietnia.

nią, obwiązać i te kilka razy na dzień przemieniać. Przez ten czas w zamknięciu psa utrzymać. Po upuszczeniu krwi, gdy gwałtowność symptomatów nie przestaje, należy i dalej używać środków ochładzających, mianowicie okładania pomienionego z gliny, a pod koniec, gdy już irritacya ustanie, dla usunięcia reszty zapalenia, nacierania z wódki, mydła i kamfory.

(Dok. nast.).

W PODRÓWNIKOWEJ AFRYCE 1905 r.

Niewydany Dziennik Podróży Pani Anny de la Motte Saint-Pierre.

Z francuskiego tłómaczył

Jan Sztolcman.

(Ciąg dalszy).

2 sierpnia. Guy i braciszek wyruszają o 7 rano, ja zaś robię małą ekskursyę na równinie, lecz wracam, zabiwszy jedynie małego ptaszka o czarnem i białem ubarwieniu. Guy powraca, przynosząc trzy piękne papużki, poczem zjadłszy naprędce śniadanie, prowadzi nas do wspaniałej części lasu, którą mamy podziwiać. Znajdujemy tam resztki obozu N'dorobo, lecz ci barbarzyńcy pościnali najpiękniejsze drzewa, aby zrobić z ich wydrążonych pni rodzaj kominów. Wracamy szybko do obozu, aby uniknąć burzy, która jednak przeszła bokiem. Zajmuję się preparowaniem zdobyczy przyrodniczych przy cieple olbrzymiego ogniska, gdyż jest zaledwie 9 stopni powyżej zera. Guy robi znów nagankę na równinie, lecz bezskutecznie. O 6 zbieramy się na obiad.

3 sierpnia. Wyruszamy wszyscy o 7 rano, na naszych wierzchowcach, aby zająć równinę, gdzie się znajdują kongonisy i zebry. Pierwszą nagankę robimy na stado zebr. Prawe skrzydło, prowadzone przez Hassaniego, posuwa się zbyt szybko, lecz błąd ten naprawia Ongwatoha, który szybkim ruchem odcina drogę zebrom w chwili, gdy już je uważaliśmy za stracone. Przemykają one względnie dość blizko od Guy'a, który je wszelako chybia z przyczyny niebezpiecznej pozycyi naganki. Zabawnie było patrzeć, jak następnie te ośm zebr zatrzymało się z głowami podniesionemi, rozmyślając, co mają dalej robić; nareszcie, zdecydowawszy się, ruszyły ostro na prawe skrzydło, gdzie, mimo krzyków i machań naganiaczy, sforsowały linię obławy.

Ruszyliśmy wtedy na kongonisy. Naganka zapowiadała się jaknajlepiej, gdyż obławnicy, oprócz nich, zajęli także inne stado zebr, 2 szakale srebrzyste i 2 marabuty [1]), gdy na nieszczęście gęsta mgła szybko zaczęła pokrywać okolicę w chwili, gdy kongonisy pędziły o 200 metrów od Guya w kierunku misyonarza, który, widząc, że idą wprost na Henryka, puścił je bez strzału. Widocznie jednak nie był to nasz dzień, gdyż Henryk, z chwilą pojawienia się mgły, wyjął z luf ładunki i mógł tylko patrzeć na przemykające o 30 metrów, stado antylop, które wykręciły się z tej afery trochą strachu.

Po tem niepowodzeniu, z trudem zwołaliśmy naszych tragarzy i wróciliśmy do obozu. Tutaj zrobiliśmy bardzo smutne odkrycie. Henryk, wyjmując klisze fotograficzne z opakowania, spostrzegł, iż wszystkie są zepsute przez wilgoć. Prawdopodobnie trociny, w których je opakowano, były nie dość suche. Niewątpliwie dla fotografa tak drobiazgowego, jak on, był to wypadek nader przykry; wyraziliśmy też mu nasze szczere współubolewanie.

4 sierpnia. Łowcy, których nam obiecał przysłać p. „kolektor“, nie przybyli jeszcze; niemniej decydujemy się ruszyć dalej. Opuszczamy obóz przy jaskrawych promieniach słońca, które mogło się było pojawić o cztery dni wcześniej. Urocza droga prowadzi pomiędzy równiną a lasem. Widzimy niezliczone tropy nosorożców i słoni, spuszczające się z gór; wszystkie jednak są stare.

Po sześciogodzinnym marszu przybywamy na miejsce naszego obozowiska, gdzie, mimo 2,630 metr. wysokości, mamy 19 stopni powyżej zera, a przytem wesołe słońce i piękny błękit nieba.

Kassaba zabija ptaka o ubarwieniu zielonem, niebieskiem i czerwonem (*touraco*), którego preparują aż do przybycia karawany, a wraz z nią osławionych N'Dorobo. Szukali oni naprożno słoni, lecz mają zamiar rozpocząć na nowo swe poszukiwania.

5 sierpnia. Ranek spędzamy na oczekiwaniu kuryera, który nareszcie przybywa. Jeden z naszych N'Dorobosów nadchodzi z wiadomością, że znalazł tropy słoni. Wyruszam z nim na poszukiwanie Guy'a, lecz widok jednego z najpiękniejszych gatunków wdówki [2]) (*Chera progne*) zmusza mnie do zaniechania tego zamiaru; wolę gonić za tym pięknym latawcem.

Hassani'emu udaje się nareszcie zabić jednego z tych cudnych ptaszków, lecz na nieszczęście spada on w sam środek strasznych pokrzyw, rosnących na miejscu dawnego kraalu Masajów, skąd Hassani wydobywa go, jęcząc i przeklinając. Niepodobna jest opisać wrażenia, jakie sprawia na nas lot tych uroczych ptaszków. Hasaniemu udaje się nadto zabić jednego bekasa; zapominamy o zebrach, strusiach, kongonisach i t. p. zwierzynie. Powróciwszy do obozu, zastaję oczekującego na mnie Guy'a, który ma się udać na poszukiwanie misyonarza. Ten ostatni dał znać przez Filipa, że wytrzymał szarżę dwu nosorożców, z których jednego ranił; drugi pozostał przy ranionym. Jak się pokazuje, Guy szedł za temi samemi nosorożcami przez cztery godziny, lecz zmylił tropy i poszedł za dwoma słoniami — samicą i młodym, a to z winy swych strzelbonośców. Za karę pozostawia ich w obozie, zamiast brać ich na „pogrzebowe“.

Wyruszamy wszyscy troje, wziąwszy z sobą dwudziestu tragarzy. O godzinie kwadrans na czwartą braciszek przyjmuje nas wiadomością, że drugi nosorożec czuwa ciągle przy swym ranionym towarzyszu. Ja pozostaję w tyle, zajmując doskonałą pozycyę do obserwacyi; jest to wielka równina, nieco falista i kompletnie obnażona. Guy tymczasem, podszedłszy na 100 metrów, strzela do zwierza, który zaraz po strzale rusza kłusem, zatrzymując się, ryjąc w szalonym gniewie ziemię, z ogonem do góry postawionym, gotów do szarży, lecz wiatr ma przeciwny, a dobrze skierowana kula z cal. 450 kładzie go na ziemi. Strzał w głowę z paradoksa na 2 metry odległości przecina wątłą nić jego żywota, dając dowód, że broń ta w razie szarży jest najzupełniej odpowiednią.

Spostrzegłszy upadek wielkiego gruboskóra, szybko dosiadam muła i zastaję Guy'a w chwili, kiedy już mierzył swą zdobycz. Jest to bardzo duża samica. Wkrótce też nadchodzą nasi tragarze kikuyc, którzy naprzód już łykają ślinkę na widok zabitej sztuki; co zaś do Swahilisów, to mają oni zamiar poderżnąć gardło ranionemu nosorożcowi, aby zadość uczynić swym rytualnym wymaganiom. Kierujemy się więc do tej sztuki, stojącej nieruchomie o 300 metrów dalej. W samej rzeczy godnem jest uwagi przywiązanie tych zwierząt do siebie! Ta druga sztuka musi mieć

[1]) Marabuty — wielkie ptaki z rodziny bocianowatych. *(Przyp. tłom.).*

[2]) Rodzaj ptaszków, zbliżonych do wróbli, a których samczyki odznaczają się wspaniałym, długim ogonem. *(Przyp. tłom.).*

kulę pod krzyżami, gdyż po pierwszym strzale Henryka na 20 metrów, ma ochotę szarżować, lecz napróżno robi wysiłki. Druga kula, bardzo zimno strzelana, kładzie ją trupem na miejscu. Jest to również bardzo duża samica, lecz rogi ma słabe.

W pewnej odległości widać olbrzymie stado zebr. Ponad zadrzewionemi górami, wyłania się obnażony szczyt Kinanliop, dominujący nad okolicą; zachodzące słońce oblewa całą równinę czerwonem światłem. Do obozu wracamy już przy świetle księżyca. Pijemy *whiskey* z powodu jutrzejszej uroczystości i wesoło zasiadamy do obiadu.

6 sierpnia. Wczesnym rankiem Guy zabiera się do preparowania głów, nóg i skór obu nosorożców. Ozory, wątroby i ogony kazaliśmy ugotować. Ja tymczasem preparuję ptaszki. W południe nadciągają N'Dorobosy, nie znalazłszy świeżych tropów słoni. Rozmowa z nimi jest bardzo skomplikowana, gdyż Guy musi mówić po francusku do braciszka, ten tłómaczy następnie Filipowi na język Swahili, a dopiero Filip powtarza to w dziwnym języku Masai-Dorobo, który jest chyba jeszcze bardziej rozwlekły, aniżeli inne narzecza tej okolicy. Nic nie jest w stanie poruszyć pełnego godności zachowania się tych dzikusów, ani też ich obojętności, noszącej pewien odcień wzgardy. Ostatecznie stanęło na tem, że Guy wyrusza jutro z nimi na poszukiwanie słoni.

Jan Sztolcman.

(*C. d. n.*).

Józef hr. Potocki.

Notatki myśliwskie z Dalekiego Wschodu.

CEJLON.

(*Ciąg dalszy*).

18 lutego. Od Kirinde rozpoczynają się rewiry grubego zwierza i z ustaleniem obozowego życia normuje się rozkład dnia według marszruty, zastosowanej do myśliwskich celów naszej wycieczki.

Aż do dojścia do najlepszych knieci, sporo mil mamy jeszcze przed sobą, posuwamy się zatem śpiesznie, codzień o jeden etap dalej, obierając kwaterę w najbliższym rest-housie, ilekroć na drodze naszej się znajduje. Południe wypada zwykle w połowie drogi; wówczas cały nasz tabor kilka godzin odpoczywa i tam zwykle z nim się łączę, wyszedłszy przed nim z ostatniej kwatery i dżunglą pochód odbywając.

Polowanie na Cejlonie, a przynajmniej w południowej części wyspy, odbywa się w sposób nader prosty i łatwy. Nie potrzeba do niego ani całego aparatu naganki, której zresztą, z braku ludności w tych stronach, nie dałoby się zebrać, ani oznaczania miotów lub wyboru stanowisk, ani nawet podwód do dostania się do knieci: wystarczy dobry przewodnik i wytrzymała para własnych nóg, a odpowiednia broń i zręczna ręka reszty dokona.

Wychodzi się piechotą z obozu, dżungla tuż obok, niema ani wsi, ani osady, nawet pola, lub kawałka ziemi uprawnej, któryby ominąć lub objechać należało, nim się do knieci dostanie. Wzdłuż i wszerz, od Hambantoty aż do Kumbukkan-river, ciągnie się, kilku rzekami przecięty, od morza ku głębi wyspy, dziesiątki mil szeroki, jeden nieprzerwany obszar dzikiej dżungli. Jedna w nim tylko droga, o której wyżej wspomniałem, dostępna wyłącznie dla bryk, idąca równolegle z wybrzeżem morza, nad którem gdzieniegdzie rzucona osada napół dzikich krajowców, rybaków, zawiera nieliczną ludność tych stron zapadłych.

Tu Eldorado dla myśliwych, dziś bezsprzecznie najlepszy na Cejlonie rewir najgrubszego zwierza, który, uchodząc przed szerzącą się cywilizacyą, ogarniającą szybko całą wyspę, cofnął się do tych, dziś już nielicznych, miejscowości, które, jak biała plama, na karcie Cejlonu widoczne, oznaczają nieuprawne i niezamieszkane przestworza leśnej dżungli.

Naturalnie, że obszary te zostają w odpowiednim stosunku do wielkości wyspy i względnie wcale nie są tak bezdennie zapadłe i wielkie, jak np. dżungle indyjskie, lub choćby nasze puszcze i bory. Przestrzeń kilku lub najwyżej kilkunastu mil angielskich — oto zwykła odległość od jednego etapu do drugiego, a rejon polowania wokoło poszczególnego obozu, stanowiący cel wycieczki danego dnia, nie przewyższa 4 — 6 mil w głąb knieci. Myśliwy pojmie, jakie nadzwyczajne ułatwienie dla polowania tkwi właśnie w tem zbliżeniu odległości, które mu daje możność szybkiego przerzucania się z miejsca na miejsce i pozwala nie trwonić drogiego czasu na mozolne jazdy lub forsowne marsze do knieci i z powrotem.

W cejlońskiej dżungli żyje się w jej sercu wśród najgrubszego zwierza, a namiot nieraz bywa na nocleg rozpięty w tem miejscu, gdzie wczoraj jeszcze słonie lub bawoły przy księżycowem przechadzały się świetle. Ta dostępność dżungli cejlońskiej, zamkniętej w niezbyt obszernych przestrzeniach naturalnych jej granic, a nadto zupełne odosobnienie od ludzi i cywilizacyi, ten urok nienaruszonej ręką ludzi, dzikiej przyrody, zapewnia jej, jako rewirowi myśliwskiemu, stanowczą wyższość nad wielu innemi krajami, choćby już ze względu na łatwość osiągnięcia w niej upragnionego celu.

Arsenał mój składał się z następującej broni: 1) z grubego sztućcera 8-go kalibru o kulach stożkowych ze stalowemi końcówkami; 2) z ciężkiego ekspresa 20-go kalibru z takiemiż kulami o bardzo silnym naboju prochu; 3) ze zwyczajnego ekspresa 450, którego zawsze w domu używam; 4) ze strzelby systemu Colindian od Lancastra z Londynu, strzelającej śrótem, jak kulą; wreszcie 5) że sztućczyka-ekspresa małeńkiego kalibru, na drobną zwierzynę.

Powyższy skład arsenału jest, według mego zdania, kompletem, jaki mniej więcej wystarcza na wszelkie polowania w każdej części świata. Byłaby się może przydała druga śrótówka, a nie zawadziłoby, jak późniejsze doświadczenie mnie nauczyło, drugi sztuciec grubego kalibru. Będę miał sposobność o tej, tak ważnej części ekwipunku myśliwego nieraz jeszcze pomówić. Nigdzie może kwestya broni nie gra ważniejszej roli, niż w dżungli cejlońskiej. Nie chodzi tu o to, żeby zwierza trafić choćby ładnym strzałem na daleki dystans. Myśliwy winien się zaopatrzyć w odpowiednie kalibry i dobrą amunicyę, albowiem *musi* go powalić na miejscu, skoro chce zwierza dostać; szczególnie przy polowaniu na słonie jest to *conditio sine qua non* dodatniego rezultatu.

System polowania, jak wyżej wspomniałem, bardzo łatwy i mało skomplikowany. Myśliwy podejmuje świeży trop i trzymając się śladu, stara się zbliżyć do zwierza, czy to podchodząc go przed świtem w otwartem miejscu wypasu, czy w skwarze dnia blizko wodopoju, czy wreszcie, jak słonie, w gęstwinie ciemnej dżungli.

Dobry i doświadczony tropiciel, czyli traper, jak go tu nazywają, gra główną rolę w tem polowaniu, a tropienie miejscami nie jest zbyt trudne, gdzie grunt piaszczysty, lub w pewnych porach roku rozmiękły po sezonie deszczów.

Tropienie jest regułą; w praktyce zaś połowę rozkładu, stanowiącego rezultat wyprawy, nie wykluczając ani słonia, ani bawołu, zawdzięcza się przypadkowemu spotkaniu zwierza podczas pieszych po

dżungli wędrówkach. Już to trzeba lubić i umieć chodzić przy tym systemie polowania, które wyłącznie tylko pieszo odbywać można. Koń wierzchowy mało się przydaje, i tylko dla wygody i odpoczynku przy zmianie obozowiska przy szerszych ścieżkach użytym być może.

Lecz wróćmy do wypadków dnia bieżącego. O świcie wyruszyłem z Kirindy w towarzystwie Soulta, starego Maubana, jako przewodnika, Fereka i czterech kulisów. Ci ostatni są potrzebni do ewentualnego zabrania ubitej zwierzyny. Maulan i Ferek noszą moją broń na zmianę.

Wkraczamy do dżungli, której wygląd od Hambantoty wciąż jednaki: ciemny gąszcz nizkich krzewów i haszczów, gdzieniegdzie halawa wysoką trawą porosła i klomby kolczastego mirtu i tarniny. Ostrożne i wrzaskliwe pawie umykają przed nami. Kogut leśny dziwnym i donośnym skrzekiem odzywa się w gęstwinie, czasem mignie się przed nami, głośno skrzydłami trzepocąc.

(C. d. n.).

W PÓŁNOCNEJ PERSYI.

(Ciąg dalszy).

Teraz powziąłem zamiar przejścia brzegiem Atrekę ku jej źródłom, lecz zachęcony opowiadaniem właściciela mego hotelu pod „Starem pudłem", Rafara, o cudach Persyi, nie mogę oprzeć się pokusie; zmieniam swój pierwotny plan, a przeprawiwszy się na przeciwległy brzeg wyżej wspomnianej rzeki, wstępuję w posiadłości syna słońca J. K. M. Szacha Perskiego Jegomości. W bliskości aula Gumysztepe zakupuję kilka koni, a przynajęciem przewodników powiększam swoją karawanę o kilka głów, której Kafer w dalszej drodze przewodniczy.

Zaledwiem minął ów aul, gdy przed nami roztoczył się kraj zupełnie dziki, mało zaludniony, lecz niepozbawiony pewnego uroku. Od swych ludzi zasięgam języka, co do tych kraju, ich mieszkańców, zwyczajów i obyczajów. Szczepy zamieszkujące te strony, przeważnie są pochodzenia irańskiego, a przednie między nimi miejsce zajmują Ader-bejdżanowie, wyróżniając się od drapieżnych Turkmenów lub spodlonych Farsów, piękną budową ciała, pełnem hardej powagi i zimnej odwagi obliczem, a w ognistych ich oczach odźwierciadla się przebiegłość i lisia chytrość. Niemniej mężni, jak okrutni, prowadząc życie przeważnie koczownicze, wiodą ustawiczne na śmierć lub życie walki z pozakordonowemi, rozbójniczemi plemionami Turkmenów, i biada temu, kto ich ulegnie przemocy; litość jest obcym dla nich przymiotem. Widziałem tu nagich, zakutych w żelaza niewolników, którym własne kazano oberznąć uszy i zjeść je następnie; pracowali oni ciężko, żywiąc się jedynie suchym chlebem i wodą. Plemię to tworzy do dziś niejako jeszcze przednią straż nadgraniczną państwa perskiego, nie ponosi żadnych podatków, a rząd nagrodą 10 rb., naznaczoną za każdą głowę zabitego Turkmena, poniekąd upoważnia je do ustawicznych rozbojów i napadów na ościennych sąsiadów. Są oni postrachem całej okolicy, żyją w dostatkach, a nieraz i znacznej zamożności, a jako iści muzułmanowie, srogo przestrzegają praw gościnności i nawet wróg ich najzaciętszy czuje się w ich gościnie zupełnie bezpiecznym.

Korzystam z tego wysokiego przymiotu tych na pół dzikusów i przyjmuję w aule X. gościnę w jurcie starszyny. Bogato zasłane kobierce, zawieszone ściany obszernej jurty drogiemi dywanami, starożytną zbroją, kutemi bogato skrzyniami, sutą uprzężą i pięknemi, chińskiemi meblami, z perskim samowarem na środku, świadczą wymownie o dostatkach gospodarza, który niemniej bogato w aksamity i jedwabie przyodziany, z wyszukaną, wschodnią mnie przyjmował gościnnością. Prędko zjawiły się na stole sery, mleko i różne owoce, poddostatkiem baraniny i t. p. przysmaków mnóstwo.

Zażywszy wywczasu i dobrego pożywienia przy solennych zapewnieniach o mych uczuciach dla całej rodziny szeika i jego aulu, przekraczam jego gościnne progi i, odprowadzany przez całą hałastrę wpółnagich wyrostków obojga płci i przy strasznym akompaniamencie złośliwych piesków, zdradzających szczególniejszy apetyt na gołe pięty z tyłu jadącego Kafera, w dalszą wyruszam drogę. Obładowane nadmiernym ciężarem szkapy, wloką się leniwym i powolnym krokiem po grząskim gruncie wśród uprawnych pól ryżowych ku widniejącym w mglistej dali, wyżynom Asterabadzkim. Zachwycający tu wszędy widok, a im dalej się w kraj zagłębiam, tem nowsze i piękniejsze, niezwykle malownicze przed memi oczami odsłaniają się widoki na pełne żywej zieleni, lasy dębowe, różnobarwnem kwieciem usiane, urocze, szerokie doliny, na modre, jak włoskie niebo, skaliste grzbiety gór, na głębokie wąwozy z masą tajemniczych grot i ciemnych rozpadlin, na ciemne gaje wijących się bluszczów, dzikich lóż winogradowych, różowych berberysów, purpurowem kwieciem osypane krzewy granatów, na otoczone zielonym wieńcem smukłych topoli, ciche jeziora, w lustrzanych wodach, których właśnie drgały złociste promienie wschodzącego słońca. Nie brak tu cichych, szemrzących strumyków, ni rwących, górskich potoków, ni pieniących, syczących, strasznych wodospadów. Natrafiam wszędzie na mnóstwo śladów dziczych, jelenich, sarnich, masy leżących igieł jeżozwierza; świadczy to wszystko wymownie o obfitości zwierzyny i napawa mnie nadzieją zebrania okazałych łupów.

Jako podstawę dalszych mych ekskursyj, obieram nizinowy aul Naukijan, gdzie też rozbijam swój namiot, a zrobiwszy Kafera nieograniczonym jego gospodarzem, ruszam we dwójkę z Z. do bliższej kniei.

Dzień pierwszy naszego w tej okolicy pobytu zszedł nam najniefortunniej i mimo obfitości zwierzyny różnorodnej, nic nie zdołaliśmy dziś upolować. Spłoszony zwierz, zanim go jeszcze dojrzeć można było, ukrywał się w gęsto podszytej kniei i uchodził cało przed nami, nie dając nawet możności strzału do siebie. Prócz zdechłego, czy też zabitego, kolosalnego odyńca, nic więcej dziś nie widziałem. Powracać z pustemi rękami do aulu nie chciałem, uradziliśmy z Z. zanocować w kniei i jutro lepszego popróbować szczęścia. Drapiemy się więc na spotkany stóg zboża, wśród lasu na małej polanie znajdujący się, i możliwie wygodny, urządzamy sobie na jego wierzchołku nocleg.

Wł. Czerniejewski.

(C. d. n.).

Niebezpieczeństwo od dzika.

Czytając opisy dawnych polowań, spotykamy nieraz przestrogę, aby, idąc na niedźwiedzia, przygotować łóżko, zaś wybierając się na dzika — trumnę.

Co do niedźwiedzia, nic powiedzieć nie mogę, ponieważ na niego nie polowałem; lecz co do dzika, śmiało powiedzieć mogę, że w tej przestrodze jest dużo przesady. Nie myślę ja twierdzić, że dzik na

człowieka nie rzuca się nigdy, owszem to bywa, i znam zupełnie autentyczne wypadki pokaleczenia ludzi przez rozjuszonego odyńca. Lecz, co do tego, aby polowanie na dziki nazwać niebezpiecznem, należałoby się cofnąć do czasów, kiedy na dziki polowano z oszczepami; wogóle zresztą pojęcie o niebezpieczeństwie jest rzeczą nader względną, i to, co jednego zdolnem jest przerazić, dla drugiego będzie tylko igraszką.

Wszak bywają wypadki rzucania się na ludzi nietylko dzików, lecz i rozdrażnionych krów i buhai, a pomimo tego nikomu nie przyjdzie do głowy nazwać gospodarstwa rolnego zajęciem niebezpiecznem, jakkolwiek, obok wypadków rzucania się dzików na ludzi, znam również autentyczny wypadek *zabicia* na miejscu pastucha przez rozjuszonego buhaja, i to w przytomności ośmiu ludzi, uzbrojonych w kosy, tylko że żaden z nich nie odważył się przystąpić bliżej, pomimo rozpaczliwych nawoływań nieszczęśliwego, a tenże sam człowiek na parę miesięcy przedtem, napadnięty i przewrócony przez tegoż samego byka, był obroniony przez jednego tylko człowieka, tylko, że ten nie stchórzył, lecz, uderzywszy byka po łbie laską, odrazu go przepędził.

W pierwszych latach po powstaniu z r. 1863, w Lubelskiem, gdzie podówczas mieszkałem, dzików było bardzo dużo i stada po dwadzieścia i trzydzieści sztuk były zwykłą rzeczą; ponieważ dziki robiły duże szkody w polach, więc odważniejsi zaczęli na nie polować z psami i białą tylko bronią. Pod tym względem odznaczył się leśniczy sąsiedniego majątku Kamień, niejaki Michałowski: atakował on zwykle dziki w nocy na polach, szczując psami, przytrzymane zaś przez psy, kłuł dość niezgrabnie odrobioną piką. Kiedy następnie wolno było trzymać broń palną, tenże myśliwy polował w dalszym ciągu na dziki ze strzelbą w lesie, zawsze z pomocą swoich dzielnych piesków, zwykłych zresztą, podwórzowych kundli. Obecnie, nie mając już gdzie polować, polowania musiał zaniechać, żyje bowiem dotychczas. Ile ten człowiek dzików nabił, powiedzieć nie umiem, wiem tylko, że bardzo dużo.

Pierwsze moje debiuty na dziki były pod przewodnictwem tego dzielnego nemroda, i może trochę dlatego nie uważałem nigdy polowania na dziki za rzecz niebezpieczną, jakkolwiek i ja ich mam pewną ilość na sumieniu. Należy jeszcze wziąć pod rozwagę, że w owe czasy nie było innej broni, a pod względem szybkości i łatwości nabijania, z dzisiejszą porównać się nie może. To też dziś, zwłaszcza, kiedy dzików mniej, a broń o wiele lepsza, dziwnie jakoś brzmi wyszukiwanie odpowiedniego schronienia przed napaścią dzika, jak pieniek, skoro dzik, gdyby chciał, istotnie mógłby przeciwnika swego dosięgnąć na pieńku tak wysokim, na którego wdrapanie się niemało przedstawiałoby trudności, nie mówiąc o tem, że tak wysokie pieńki zdarzają się rzadko. Jeśli zatem chodzi o uniknięcie szarży, praktyczniejszem byłoby o wiele uskoczenie w bok, albowiem dzik, jeśli rzuci się na psa, który go atakuje, to nic więcej, jak kilka kroków ściga swego prześladowcę i zawraca w swoją stronę.

Pewien mój znajomy, tytułujący się myśliwym, wynalazł przyrząd, podług niego znakomity, dla wywindowania się samemu na drzewo, w razie szarży dzika. Na to mu zwróciłem uwagę, że powstańcy nasi w roku 63-im wynaleźli jeszcze inny, w innym zresztą celu.

Zastosowanie go w tym wypadku polegałoby na przygięciu i przywiązaniu do kołka mocnego dębczaka, do którego umocowawszy się przezorny myśliwy, miałby możność za jednem cięciem noża wylecieć w górę, jak z procy, w pozycyi może niezbyt wygodnej, ale za to zupełnie zabezpieczonej od skutków irytacyi nierogatego przeciwnika.

Widziałem znakomite knieje Ordynacyi Zamoyskiej, gdzie dzików jest bardzo dużo, urządzenia myśliwskie wzorowe, żadnych jednak przyrządów dla zabezpieczenia myśliwych od dziczych wybryków tam niema; widocznie są tam przekonania, że sprawność myśliwska powinna być dostateczną rękojmią bezpieczeństwa każdego.

Zresztą dzik ruszony z barłogu, nigdy się na ludzi nie rzuca, a kiedy zmęczenie lub rana zmusza go do stawienia czoła psom, które go ścigają, z niemi przedewszystkiem się rozprawia i wtedy tylko może stać się niebezpiecznym dla człowieka, jeśli ten do niego podchodzi. Ta ostatnia faza polowania zależy już od animuszu myśliwskiego, albowiem bywają wypadki, że podchodząc do stanowionego przez psy dzika, myśliwi postrzelają się wzajemnie, i ten ostatni wypadek bodaj czy nie będzie największem niebezpieczeństwem, jakie myśliwemu grozić może.

Pamiętam dawno już temu, kiedy po parogodzinnem upędzeniu się za odyńcem, którego psy stanowiły, przyszedłem nakoniec do strzału i dzik przewrócił się, zjawił się nagle drugi myśliwy, utrzymując, że to on go zabił: ja słyszałem jeden tylko wystrzał — swój, on również utrzymywał, że prócz niego, nikt więcej do dzika nie strzelał, w końcu jednak pokazało się, że nie o sobie nie wiedząc, strzelaliśmy *jednocześnie* i obaj trafiliśmy.

Naturalnie, każdy w swojem przekonaniu był na razie szczerze zgorszonym za wpieranie się w jego prawa.

Podług mnie, prawdziwy myśliwy, stojąc na stanowisku, żywi jedną tylko obawę, — że dziki wyjdą na kogo innego, że zaś się nie boi, to niewielka zasługa, on o tem tyle myśli, co ktoś, idący do teatru, o tem, że teatr może się zapalić, a on sam zostać żywcem upieczonym, co przecież niejednemu już się trafiło.

J. Konczewski.

Polowanie na wydry.

Wątpię, czy między czytelnikami „Łowca Polskiego" znajdzie się choć jeden, któryby mógł się pochwalić zabiciem wydry. Nadzwyczajna ostrożność tego zwierzęcia, obdarzonego wybornemi zmysłami, oraz dużą inteligencyą, czyni spotkanie się z nim w zwykłych warunkach prawie niemożliwem. Żeby wydrę znaleźć i zdobyć jej skórę, trzeba na nią specyalnie polować, i to polować umiejętnie. Ponieważ zaś takie polowanie wymaga nietylko znajomości obyczajów tego zwierzęcia, ale jeszcze ogromnego zapasu cierpliwości, wytrwałości i pogardy niewygód, a bardzo często kończy się zawodem, nic więc dziwnego, że znajduje mało zwolenników.

Wydry trzymają się biegu rzek, rzeczek i większych strumieni, oddalając się od nich tylko w bardzo wyjątkowych wypadkach. Włóczą się one zawsze pojedyńczo, prowadząc życie typowo koczownicze i zmieniając każdej doby dzienne legowisko. Tylko w czasie rui samiec towarzyszy samicy przez czas, naturą określony, i godziny dzienne przebywa w jednem z nią schronieniu. Czasem, lecz rzadko, towarzyszy samicy dwóch rywali, ale wtedy słabszy wyszukuje sobie na dzień drugie legowisko w pobliżu.

Wydry żywią się rybami, żabami, oraz szczurami wodnemi i ptactwem wodnem; nadewszystko jednak przekładają raki, węgorzom odjadają tylko głowy i ogony, rzucając resztę. Żerują tylko w nocy, opuszczając legowisko późnym wieczorem, a z pierwszym brzaskiem dnia chronią się w nowem ukryciu. W czasie żerowania posuwają się ciągle w jednym kierunku, czy to z biegiem wody, czy przeciw bie-

gowi, i przebywają takim sposobem, przez jedną noc, przestrzeń od 8-iu do 15 wiorst, stosownie do czasu trwania ciemności i do obfitości znajdowanego pożywienia, a także zależnie od możliwości znalezienia nowego, bezpiecznego przytułku na dzienne godziny.

Wydry, jak wszystkie ziemnowodne stworzenia, są bardzo żarłoczne; trawienie u nich odbywa się sposobem przyspieszonym dla podtrzymania wewnętrznego ciepła. Schwytany łup zjadają na brzegu lub wysepkach, a przy każdem wyjściu z wody wypróżniają się; nigdy nie załatwiają naturalnych potrzeb w wodzie. Jeżeli brzegi są twarde i tropy na nich niewidoczne, pomiot stanowi, jak to zobaczymy następnie, ważną wskazówkę przy polowaniu.

Naturaliści i myśliwi różnią się w zdaniu co do terminu rui i rodzenia u wyder. Jedni twierdzą, że ruja odbywa się w końcu zimy, a rodzenie na wiosnę, inni znów są zdania, że niema na nie stałego terminu i że w każdej porze roku można spotkać samice zapłodnione. Tego ostatniego poglądu trzyma się p. Iofroy Hill, utrzymujący stale zgraję czterdziestu kilku wydrowych gończych, z któremi poluje na dwie zmiany, i który ustanowił rekord co do ilości zabitych wyder w XIX w. Hrabia de Tinguy, Francuz, polujący także z psami wydrowemi, który do r. 1895 schwytał 446 wyder i u wszystkich zabitych badał wnętrzności, znajdywał u samic płód rozwinięty w różnych porach roku: między innemi w grudniu 1891 r. i w styczniu 1892 r. zabił dwie samice z płodem już zupełnie dojrzałym, pomimo że zima w owym roku była bardzo surowa. Do tych przykładów mogę dołączyć jeszcze jeden z własnej obserwacyi. Przed kilkunastu laty, w początkach września, polowałem z bratem swym, Janem, na dubelty na łąkach nad rzeką Supraślą, w okolicach Białegostoku. Przewodnik nasz, miejscowy włościanin, zapuścił się w kępiaste trzęsawisko, porosłe w części trzciną i olchami, w nadziei wypędzenia ztamtąd kaczek; wrócił jednak prędko, bardzo uradowany, przynosząc za pazuchą maleńką wyderkę. Znalazł ją w samym środku trzęsawiska, siedzącą na kępie i żałośnie piszczącą, czem zdradziła swoją obecność. Zwierzątko to, które brat zaraz na miejscu odkupił od znalazcy, mogło mieć około pięciu, a najwyżej sześć tygodni życia, czyli że urodziło się już w drugiej połowie lipca. Przyjąć zatem można za pewnik, że choć większa część wyder może rodzić się w wiosennych miesiącach, zdarza się to jednak i we wszelkich innych porach roku.

Samica miewa zwykle tylko jedno młode, czasami dwoje, a bardzo rzadko troje. Ta okoliczność, w połączeniu ze zdarzającym się łęgiem zimowym, przy którym znaczna część młodych musi ginąć z zimna, tłómaczy nam, dlaczego wydry nigdzie i nigdy nie rozmnażają się nadmiernie, choć stosunkowo bardzo mało tych zwierząt ginie z ręki człowieka, a między czworonożnemi i skrzydlatemi drapieżnikami nie mają wcale nieprzyjaciół, zdolnych skutecznie walczyć z niemi.

Kiedy samica poczuje zbliżający się czas porodu, opuszcza większe wody i wędruje w górę małych rzeczek, wybierając na gniazdo miejsce dobrze ukryte, a zarazem suche i niemogące podlegać żadnym zalewom. Młode bardzo długo, prawdopodobnie do trzech miesięcy, nie opuszczają zupełnie gniazda; potem jeszcze jakiś czas, także około trzech miesięcy, trzymają się matki, zanim zaczną żyć samodzielnie.

Nie zgadza się to z opisanym powyżej wypadkiem znalezienia maleńkiej wydry na kępie, wśród bagna, ale wypadek ten był wyjątkowy i wywołany jakiemiś szczególnemi okolicznościami. Przypuszczam, że gniazdo musiało się znajdować na jakiejś suchej wysepce, pomiędzy olchami, rosnącemi w pobliżu miejsca, w którem wydra została znaleziona. Zapewne matce przeszkodziło coś do powrotu przed rankiem z nocnej wycieczki, a wygłodniałe maleństwo opuściło gniazdo i gramoliło się z kępy na kępę, wzywając pomocy. W czasie karmienia potomstwa, samica co noc robi zwykle wycieczki to w dół rzeczki, to w górę, albo też na prawo i na lewo, do innych rzeczek lub stawów; nigdy jednak przez dwie noce z rzędu nie odbywa tej samej drogi, ani też nie odwiedza tego samego stawu. Robi to, jak łatwo zrozumieć, przez nadzwyczajną ostrożność. Wydry dojrzewają i stają się zdolne do rozplodu dopiero z końcem trzeciego roku życia.

A. Szteleman.

(C. d. n.).

Polowanie u Koziełły-Poklewskiego.

Z okazyi wybrania p. Koziełły-Poklewskiego na posła do Rady Państwa, przyczem, jak wieść niesie, ma on zostać wice-minisrem spraw wewnętrznych, -- przytaczamy opis polowania u tego magnata, podany przez p. v. Schüttelsberga w „Deutsche Jaeger Zeitung“. Pisze on, co następuje:

W grudniu i styczniu 1903/4 r. odbyłem wyprawę do Ekaterynburga i w okolice Tomska (na Syberyi), żeby mieć sposobność spotkania się z niedźwiedziem, wilkiem i łosiem. 300 wiorst na północ od Ekaterynburga, w zapadłej części świata, leży miejscowość Poklewskaja, która była pierwszym celem naszej wyprawy. Właściciel majątku, Koziełło-Poklewski, przyjął nas po magnacku, a po kolacyi — przybyliśmy bowiem o godz. 6-ej po południu — omówiliśmy plan polowania na kilka dni najbliższych. Obszar leśny, należący do Poklewskiego, obejmuje 130,000 mórg nieprzerwanego lasu, przeważnie sosnowego — jaki to majątek ogromny przedstawia! —, ale nie można tego eksploatować należycie, z powodu nader złych warunków komunikacyi. Jest to jednak część majątku Poklewskiego, który na Uralu posiada jeszcze większy obszar.

Łosiostan w tych lasach przedstawia się wspaniale, a głuszców ile tam jest! — święty Hubercie, polować tam chciałbym podczas jednej gry na toku i potem umrzeć! Widziałem fotografię zarządzającego majątkiem w otoczeniu 8 głuszców. Wspaniałe te ptaki ubił myśliwy w przeciągu jednego poranku! Miałem się udać tam na wiosnę, byłem już nawet gotów do podróży, ale ważne przyczyny przeszkodziły mi w wykonaniu szczerego zamiaru. Że tam są możliwe takie rozkłady głuszcowe, przekonałem się podczas kilku obław na łosie.

Na łosia tutaj poluje się przeważnie przy pomocy psów, które go stanowią, myśliwy zaś podjeżdża jakie 400 kroków, zostawia konia i pieszo kończy polowanie. Na uwagę zasługuje, że to zwierzę pierwotne daje się stanowić przez dwa nieduże psy i potem upolować. Swego pierwszego łosia ubiłem w ten sposób na 30 kroków z ekspresa kal. 500.

Podjeżdżając, trzeba konia ostro trzymać za cugle, inaczej bowiem łatwo można się razem z nim przewrócić i niemal utonąć w ogromnych zaspach śniegu. Podczas takiej jazdy dwa razy się potknąłem i przewróciłem razem z koniem. Gdy nareszcie dotarłem do celu, zastałem kapitalnego łosia, którego psy stanowiły. Wogóle zrobiłem spostrzeżenie, że byki łatwiej się dają stanowić, aniżeli klępy i cielęta.

Podczas obławy wszyscy naganiacze byli na koniach, co przedstawiało imponujący widok: jakich 80 do 100 ludzi na małych koniach rosyjskich, mocno włochatych. Jak ci ludzie konno przedarli się przez niedostępne gąszcze i mury zarośli, dotychczas nie pojmuję, a jednak przybyli we wzorowym porządku na linię strzelców!

Stwierdzono, że łoś nigdy nie przełamuje naganiaczy na koniach, lecz zawsze kieruje się na linię

strzelców. Nie przypominam też sobie nigdy, żeby łosie przeszły przez naganiaczy. Podczas takiej obławy udało mi się raz niespodziewanie ubić wilka, rosłego samca, który usiłował przemknąć się, jak lis. Łeb zabrałem potem do Moskwy, by go dać tam sprepa-rować, ale tak jakoś się złożyło, że do dziś dnia mi go nie zwrócono. Podczas naganki miałem zawsze „pecha", napotykając różne przeszkody, natomiast na polowaniu z psami i końmi cieszyłem się niezwykłem powodzeniem.

Odbyliśmy jeszcze polowanie na niedźwiedzia w następujących warunkach: Po nagance na łosie, gdy czterech strzelców zabiło 4 łosie z kapitalnemi rogami, siedzieliśmy wszyscy przy biesiadzie. Wtem oznajmił zarządzający, że gajowy w pobliżu Ekaterynburga wyśledził starego niedźwiedzia i może wskazać dokładnie miejsce barłogu, który znajduje się w środku obszernej polanki leśnej. Byłem jakoś odrazu usposobiony sceptycznie, ale postanowiono jechać natychmiast do Ekaterynburga, a ztamtąd, po otrzymaniu bliższych szczegółów, udać się do „leśniczówki", odległej o 40 wiorst.

Przybywszy do Ekaterynburga, zastaliśmy tam leśniczego Iwanowicza, który zaklinał się na wszystko, co drogie i święte, że niedźwiedź jest pewny. Nie rozumiałem naturalnie nic z tego, co leśniczy mówił po rosyjsku, i musiałem kazać sobie tłomaczyć słowo za słowem na niemiecki. Gdyby tam niedźwiedź się znajdował, gdzie Iwanowicz mówi, to musiałby to być miś, stary, jak świat, ślepy, głuchy i niesłychanie głupi, tymczasem moje doświadczenie myśliwskie mówiło mi, że niedźwiedź to chytra sztuka, z którą niema żartów.

Jechaliśmy 40 wiorst w saniach po karkołomnej drodze nieudeptanej i nareszcie dotarliśmy do domku myśliwskiego, bardzo elegancko wyglądającego i czystego, w którym mieszkał leśniczy. Po szklance herbaty z nieuniknionego „samowaru", pojechaliśmy już prosto do barłogu niedźwiedziego, który miał być odległy o jakie 800 m. od blokauzu. Gdy się o tem dowiedziałem, miałem chęć wyszturchać porządnie tego wspaniałego łowca, nie niedźwiedzia widocznie, lecz rubla, gdyż tylko chyba o pieniądze, zarobek za pośrednictwo, szło hultajowi. Towarzysz mój mitygował mnie jednak, twierdząc, że jeżeli już tyle drogi zrobiliśmy, to możemy jeszcze pojechać 800 m. Jechaliśmy pod ścianą wysokiego lasu po wązkiej drodze przez zagajnik, poczem dotarliśmy do wielkiej polany, szerokości około 8 hektarów.

Nasze towarzystwo myśliwskie składało się z mojego kompaniona i mnie, oraz z leśniczego z olbrzymią tyką, tudzież dwóch Rosyan krzepkich, z których każdy był zaopatrzony w znaną tam broń białą, zwaną „dzidą niedźwiedzią". Sanie zatrzymały się i zawróciły, a my szliśmy za leśniczym, który nas prowadził do środka polany, po śniegu na metr wysokim, do trzech lichych sosen, między któremi leżała duża kupa śniegu, wysoka na 2 m. Pod nią z boku prowadziła nora, wielkości talerza, do głębi, która, jak się potem przekonaliśmy, miała kształt niecki, a była zakryta gałęzią; głębokość wynosiła $^1/_2$ m.; śnieg nagromadził się tutaj podczas zawieruchy. I tutaj miałby niedźwiedź siedzieć? święty Hubercie!

Towarzysz mój stanął przed norą, my po bokach, a leśniczy zabrał się do roboty tyką; wszystko zostało spokojnie, a myśmy się cicho zachowali, jak myszy. Wtem nagle — leśniczy odrzuca na bok tykę, bierze rewolwer do ręki i wystrzela do kupy, lecz przedtem cztery razy (!) broń nie chciała wystrzelić (rewolwer kalibru 9 mm.). I z takim grochem do strzelania hultaj chciał może być naszym zbawcą w razie niebezpieczeństwa! Teraz wyczerpała się moja cierpliwość; zacząłem się jednak śmiać tak namiętnie, że wszystko mnie prawie bolało w środku, gdyż historya była rzeczywiście komiczna bardzo. Niedźwiedzia ani śladu. Tak, niedźwiedź nie jest tak głupi, jak nas miał widocznie za głupców leśniczy, poczciwy Iwanowicz! Gdyśmy jechali z powrotem, ubiłem przy blokauzie kruka, żeby nie tracić tak dalekiej drogi przynajmniej zupełnie za darmo. Po dwóch dniach mieliśmy spotkanie z łosiem, z zupełnie dobrym rezultatem".

Napady wilków.

W kwietniu r. b. doszła nas wiadomość, że w pow. radomyskim (gub. kijowskiej) dwu nauczycieli wiejskich zostało napadniętych przez stado wilków, z 30 sztuk złożone; zwróciliśmy się przeto listownie do p. Jana Sierocińskiego, zarządzającego majątkiem Unin hr. Ksawerego Branickiego, gdzie wypadek powyższy się zdarzył, — z prośbą, aby łaskawie nadesłał nam opis tego ciekawego zdarzenia — o ile możności z autentycznego źródła. Obecnie otrzymaliśmy list p. Sierocińskiego z d. 6 maja (s. s.), który w całości przytaczamy, wyrażając zarazem wdzięczność Autorowi jego za łaskawe informacye.

„Przepraszam najuprzejmiej, że tak długo na list Szanownego Pana z d. 11 kwietnia r. b. nie odpowiedziałem, lecz przyczyną tego opóźnienia stała się trudność odszukania aktorów zdarzenia napadu wilków, o którym mówiłem hr. Branickiemu przy widzeniu się w Michałówkach.

Pomimo szczerej chęci zadośćuczynienia żądaniu Szanownego Pana, aby donieść cały przebieg tego wypadku z ust rzeczywistych uczestników, do tej pory nie mogę z żadnym z nich osobiście się zobaczyć, bo p. Domentij Jakub, nauczyciel wiejski ze wsi Kropiwnej, korzystając z wakacyj od d. 1 kwietnia r. b. wyjechał na dłuższy czas do swej rodziny, a nie wie nawet dokąd, zaś towarzysz, również nauczyciel, który z nim jechał, niewiadomo jak się nazywa, bo go nikt nie zna; woźnicy, który ich woził, również nie mogę dotąd odszukać. Wszystko będzie można dokładnie objaśnić po powrocie p. I Domentja z wakacyj, co nie omieszkam uskutecznić i doniosę Szanownemu Panu.

Co wiadomo dotąd, donoszę, jako prawdziwy i autentyczny wypadek. W Nowy Rok, d. 1 stycznia st. st. r. b., do p. Archangielskiego, nauczyciela wiejskiego we wsi Blidczy, położonej wśród lasów hr Ks. Branickiego i rządowych, przyjechali z wizytą dwaj również nauczyciele wiejscy, p. Domentij, blizki kolega p. Archangielskiego, a drugi zupełnie mu nieznajomy, jak twierdzi p. Archangielski, z pierwszej rekomendacyi; zapomniał jego nazwiska i dotąd nie może sobie przypomnieć. Obaj przyjaciele są ze wsi Kropiwnej, odległej od wsi Blidczy o wiorst trzydzieści; przywiózł ich najęty człowiek, włościanin, podobno również z Kropiwnej. Było to w dzień świąteczny Nowego roku, cała kompania zabawiła się należycie do późnej nocy, poczem goście odjechali. Po wyjeździe z Blidczy, późno w nocy, mróz był tęgi, sanna kapitalna, przejechali rzekę Teterów po lodzie, ujeżdżoną drogą; po przejechaniu rzeki na terytoryum łąk włościańskich, zaczęło ich prześladować stado wilków, ile sztuk, tymczasowo niewiadomo. P. Domentij miał strzelbę, parę razy wystrzelił i wilki pozostały. Na drugi dzień rano włościanin wsi Blidczy, Griszczenko, znalazł przy tej drodze na łące zabitą wilczycę i wskazał tropy rannego wilka, który, farbując, poszedł w lasy hr. Ks. Branickiego; tropowany przez gajowego, Danyła Ioremenka, nie został odnaleziony. Zabitą wilczycę kupił leśniczy Wydz. Huta Talska, p. St. Dziewiątkowicz, skórę z niej zdjął gajowy Danyło Ioremenko. Jest faktem w tym wypadku, że p. Domentij szczęśliwym trafem w nocy zabił wilczycę i ranił wilka.

Drugi, dość ciekawy wypadek, zdarzył się we wsi Unicie. Włościanin tej wsi, Teodor Smauż, poszedł na zasadzkę przy zdechłym koniu, leżącym blizko wsi na wygonie. Było to 20 stycznia (st. st.) r. b. W nocy przyszło dziewięć wilków, on strzelił i trafił jednego wilka jedną loftką w oko. Zwierz padł na miejscu, a pozostałe ośm odbiegło. Uradowany powodzeniem, zabrał zabitego wilka i poszedł do domu. Było to mniej więcej o godz. 9-ej wieczorem; na drugi dzień zrana ze zdechłego konia nie pozostało nawet kości; przyszły powtórnie wilki i zjadły; skórę z tego wilka kupiłem i wyprawioną odesłałem do Warszawy dla p. hr. Branickiego.

Jeszcze jeden wypadek zdarzył się w styczniu r. b. Kupiec drzewny, włościanin ze wsi Makolewicz, Mykita Wołkow, jechał w dzień przez Borodiański las hr. A. Szembeka. Na publicznej drodze, wśród lasu, spotkał stojących przy drodze pięć wilków, z trudnością osadził unoszącego i spłoszonego konia: kiedy ich minął, wilki zaczęły biegnąć za sankami, on, przestraszony, przypomniał sobie, że ma rewolwer, wystrzelił z rewolweru, wilki ustąpiły, przejechał kawałek, widzi, ma przed sobą pięć wilków, ogląda się: — z tyłu biegnie pięć wilków. Koń sam stanął, zawrócił głowę w tył i patrzy na gospodarza. Przestraszony nie do opisania, zaczął strzelać i wrzeszczyć, wilki ustąpiły, on pojechał dalej. Sam mi o tym wypadku mówił; długi czas nie mógł przyjść do siebie, a po przyjeździe do domu, zachorował na gorączkę i przeleżał parę tygodni".

J. Sierociński

Korespondencye „Łowca Polskiego".

Równo, pod Lubomlem (gub. wołyńska), *w kwietniu.*

Tegoroczna zima mało śnieżna, o przebiegu nader łagodnym, albowiem największy mróz w d. 3 stycznia wynosił tylko 15 Réaumura, — bardzo sprzyjała konserwacyi zwierzyny, zwłaszcza kuropatw i zajęcy.

Tylko marzec stanowił pod tym względem wyjątek, albowiem silniejszych mrozów nie było; jednak był on najbardziej śnieżnym ze wszystkich, jakkolwiek śnieg ginął dość prędko.

Dzikie gęsi widziałem pierwszy raz 1 marca, czajki 6-go. Potem, wskutek zimna, nastąpiła w przelocie ptactwa przerwa, tak, że pierwsze bociany pokazały się dopiero 26-go.

Od początku kwietnia mamy pogodę niezwykle ciepłą nawet nocami, tak, że w chwili, kiedy to piszę, 20-go, drzewa owocowe, mianowicie czereśnie, zaczynają kwitnąć, zaś morele i brzoskwinie są w pełnym rozkwicie, czego o tej porze nigdy nie zauważyłem.

Jednak jaskółki, te prawdziwe zwiastuny ciepła, pokazały się dopiero 18 b. m. Toki głuszców i cietrzewi rozpoczęły się od dwóch tygodni, również, jak ciągi słonek. Głuszców jest podobno więcej, niż innych lat. Kszyki również wyprawiają swoje wiosenne harce, słowem — wiosnę mamy wyjątkowo wczesną.

Od marcowych śniegów i przymrozków ucierpieć musiały młode zajączki, w każdym razie nie bardzo, ponieważ w końcu marca, przed samym początkiem ciepła, widziałem młode zajączki, biegające raźnie. Kaczek tylko widać mało, jakkolwiek wylew Bugu był w tym roku duży, widocznie przez ostatnich parę lat, wyjątkowo suchych, kiedy najlepsze kryjówki kacze stały się dostępnemi dla pastuszków i psów chłopskich, tyle ich wytępiono, że i niema obecnie tak daloce komu starać się o rozmnożenie.

Bocianów za to jest dużo i chociaż ich z dziesiątek zabiłem, jednak ubytku nie znać. Okolica widocznie sprzyja wszelkiego rodzaju szkodnikom; tylko kłusownikom bieda. Policyi mamy teraz, jak grzybów po deszczu: zamiast tego, że dawniej liczył się jeden „urjadnik" na dwie gminy *(wołosti)*, obecnie na każdą gminę mamy po jednym „urjadniku" i do tego po pięciu strażników, uzbrojonych w karabiny.

Bardzo to nie na rękę panom kłusownikom, albowiem strażnicy mają polecenie, jak wszędzie, odbierać broń nielegalnym posiadaczom i gdyby tak istniały, jak w Królestwie, dodatkowe, pieniężne nagrody za odbieranie broni, w takim razie kwestya ochrony zwierzyny tutaj mogłaby wejść na lepszą drogę; tymczasem dobre i to.

J. Konczewski.

Z toków głuszcowych nad Prypecią i Uszą

Warszawa, *d. 17 maja.*

Zdawałoby się, że myślistwo nie ma bezpośredniego związku z polityką, a jednak przekonałem się osobiście, iż gorączka polityczna wciągnęła w swój wir namiętnych nawet myśliwych, rezultatem czego było ocalenie życia wielu stworzeniom, a zwłaszcza głuszców, cietrzewi i słonek. Jest to wymownem świadectwem głębokiego pojmowania swych obowiązków względem kraju ze strony myśliwych, których trudy i starania wynagrodzone zostały przeprowadzeniem kandydatów, pożądanych przez całe społeczeństwo ziemi Poleskiej. Był to pewien rodzaj szlachetnego strajku, na którym, rzecz szczególna, obiedwie strony — tak myśliwi, jak i zwierzyna — zyskały.

Wracając do rzeczy, powiem, iż znalazłem się dopiero 19 kwietnia w sławnych z toków głuszcowych, lasach gościnnego Bryniowa, własności p. Hieronima Kieniewicza. Głuszców bardzo dużo, niektóre grały długo i wspaniale, inne zaś, jakby już statygowane miesięcznym flirtem, grały z przerwami i krótko, i właśnie, gdym z największą emocyą skakał do nich, nie tracąc ani jednej pieśni, przerywałem śpiew, zanim mogłem je dostrzedz, choć były w odległości pewnego już strzału. Pomimo to nasłuchałem się tyle tej cudownej muzyki na tle przepysznej wiosny, iż pamięć tych rozkosznych ranków i wieczorów, spędzonych w lesie, a zwłaszcza w Kureniu, nietylko przetrwa do przyszłej wiosny, ale i do końca życia. Dodać jeszcze muszę, że przyjemność tych chwil potęgowaną była przez najmilsze towarzystwo dzielnego myśliwca, hr. A. Ilinskiego-Kaszowskiego, znanego i szczęśliwego pogromcy nietylko głuszców, ale i niedźwiedzi.

Ogółem w lasach Bryniowskich zabito:

P. Hieronim Kieniewicz głuszców		5.
Hr. Ilinski-Kaszowski	„	3 i jedną słonkę.
P. Lenkiewicz	„	3.
W. Stankiewicz	„	2, kaczora i słonkę.

Naturalnie, nie obyło się bez pudeł, a niestety, czego najwięcej żałować należy, kilka głuszców, mocno postrzelonych, zmarnowanych zostało.

W Uszomierzu, przepysznych lasach p. Stanisława Bogusza, polowałem trzy ranki; głuszców wielka obfitość, i podskakując do jednego, zawsze słyszałem dwa lub trzy w blizkości; grały już krócej, gdyż ostatniego podchodziłem 1 maja. Z tego powodu po strzale sąsiednie ptaki przestały grać i nie mogłem już podchodzić do drugiego.

Rezultat tegoroczny:

P. Walenty Siemiątkowski głuszców		1.
Niżej podpisany	„	2 i 2 słonki.

W. Stankiewicz.

Z Towarzystwa Prawidłowego Myśliistwa.

Ogólne Zebranie, 16 maja. Nieliczne było pierwsze tegoroczne Ogólne Zgromadzenie Członków naszego Oddzia-

łu, jakkolwiek, według sprawozdania za rok ubiegły, liczy ono 313 Członków warszawskich i 535 prowincyonalnych, łącznie więc 848. Obecnych było zaledwie czterdziestu paru. Przewodniczył obradom p. Blumental, pióro trzymał p. Bortnowski.

Zebranie zatwierdziło protokół z poprzedniego Zgromadzenia, oraz sprawozdanie roczne, które w dochodach wykazuje sumę 38,382 rb., w wydatkach zaś 37,772 rb. Tym sposobem majątek Oddziału powiększył się w r. z. o 610 rb. Niewielka to suma, ale jak na te ciężkie czasy, dobrze, że i choć tyle się okroi. Czy się jednak okroi — pozwalamy sobie wątpić.

W activach bilansu naszego Oddziału figuruje suma zaległych składek członkowskich 11,226 rb. Otóż activ ten nie zupełnie pewnym nam się wydaje, a przynajmniej w znacznej części. Suma ta w ostatnich latach ciągle się powiększa i dopóki Zgromadzenie Ogólne nie zdobędzie się na krok stanowczy i nie postanowi, że wszystkie składki członkowskie mają być z góry płacone, dotąd w majątku Towarzystwa naszego będzie figurowała suma tych zaległości mniejsza lub większa, ale zawsze do kilku tysięcy dochodząca. Wyregulowanie w ten sposób należności tylko raz zaboli, ale dalej już rzecz pójdzie, jak z płatka. Co do Członków prowincyonalnych, przedstawi to niejakie trudności — to prawda, ale będą to trudności kancelaryjnej natury, które przecież przemódz można.

Pozatem sprawozdanie, jako zamykające się w ramach budżetu, nie nastręczało Komisyi Rewizyjnej żadnych szczególnych uwag, która też znalazła wszystkie rachunki i księgi w porządku.

Dla ożywienia życia towarzyskiego postanowiło Ogólne Zebranie zatwierdzić czasowo wprowadzoną w regulaminie wewnętrznym zmianę co do wprowadzanych gości. Dotychczas gość miał prawo wejścia tylko 3 razy w ciągu roku, obecnie przepis ten zniesiono, gościa wprowadzić można dowolną ilość razy, za opłatą 50 kop. za każdy raz, pod warunkiem, że wprowadzający Członek winien przyjąć moralną i materyalną odpowiedzialność za swojego gościa.

Ogólne Zgromadzenie postanowiło nadać tytuł dostawcy Oddziału Warszawskiej Spółce myśliwskiej i firmie Roberta Zieglera.

Posiedzenie Rady, 23 *maja*. Główne Towarzystwo nadesłało nam trzy żetony: złoty, srebrny emaliowany, i srebrny, dla właścicieli najlepszych wyżłów, jakie będą przedstawione na tegorocznej Wystawie psów, urządzonej przez nasz Oddział.

Zarząd Strzelnicy Warszawskiej zwrócił się z zapytaniem do Rady, w jakim czasie w r. b. Towarzystwo zamierza urządzić konkursy strzeleckie, ażeby na ten czas strzelnica mogła być wolną. Rada odesłała to zapytanie do Wydziału ochrony i polowań, który zajmuje się sprawą konkursów i przedstawi Radzie swoją opinię w tym względzie.

P. Lipiński, członek rzeczywisty naszego Oddziału, sprzedawszy dobra Kołoczew, prosi o zniesienie w nich miejsc ochronnych, natomiast prosi o ustanowienie miejsc ochronnych w nowo nabytym przezeń majątku Zaborów Leśny. Rada postanowiła zawiadomić naczelnika właściwego powiatu o skasowanie miejsca ochronnego w Kołoczewie, z prośbą o odebranie biletów na broń dotychczasowym stróżom tamtejszym, a natomiast zajmie się wyjednaniem takich biletów dla stróżów w Zaborowie Leśnym.

Ryski Oddział prawidłowego myślistwa w d. 10 czerwca urządza premiowanie i próbę taksów i foksterrierów w sztucznych norach w miejscowym hipodromie. Ponieważ Oddział ryski przysyła zawsze na nasze Wystawy psów medale, a nadto, uznając istotny pożytek hodowli jamników i foksterrierów dla myślistwa wogóle, Rada postanowiła posłać na owe próby dla właścicieli najlepszych psów trzy żetony: złoty, srebrny i bronzowy.

WYSTAWA PSÓW.

W niektórych pismach codziennych była błędna wzmianka, jakoby Wystawa psów urządzona będzie w tym roku na placu Tow. Wyścigów konnych, na Agrykoli. Zaznaczamy przeto, że, jak dawne wystawy, obecna także mieścić się będzie przy lokalu Tow. praw. myśl. w ogródku przy ul. Nowy-Świat Nr. 35. Otwarcie nastąpi d. 7 czerwca.

Wykazy Myśliwskie.

W sezonie myśliwskim 1905/6 r. na polowaniach dworskich cesarza *niemieckiego* ubito: 832 jelenie, 2,023 danieli, 798 dzików starych, 355 młodych, 315 sarn, 664 bażanty, 3,559 zajęcy, 2,787 kuropatw, 295 gęsi, kaczek, bekasów i t. d., 295 czapli i kormoranów, 437 lisów, 61 kun, 63 tchórzy, 188 łasic, 605 ptaków drapieżnych, różnych 3,782, razem 16,931.

W roku myśliwskim 1905 na polowaniach dworskich cesarza *austryackiego* ubito: 595 jeleni, 32 daniele, 6 muflonów, 109 sarn, 443 dziki, 21,646 zajęcy, 2,799 królików, 3,136 bażantów, 19,588 kuropatw, 43 słonki, 5 dzikich gęsi, 404 kaczek, 738 przepiórek, 17 dropi, 28 różnych ptaków; razem użytecznej zwierzyny 49,499. Szkodników zaś: 46 lisów, 10 borsuków, 1 wydrę, 26 kun, 381 tchórzy, 544 łasic, 4 sokoły duże, 245 małych, 4,480 wron i srok, 274 kormoranów i czapli, 42 różnych; razem 6,073. Ogółem sztuk 55,572.

Oprócz tego na polowaniach dworskich na Węgrzech ubito od 1 lutego 1905 r. do 31 stycznia 1906 r. 179 jeleni, 391 danieli, 83 dziki, 40 kozłów, 61 sarn, 4,880 zajęcy, 2,080 królików, 947 bażantów, 4,228 kuropatw, 2 jarząbki, 70 słonek, 43 dzikich kaczek, 99 przepiórek, 170 różnych: razem 13,272 sztuk zwierzyny użytecznej. Dalej 1 wydrę, 279 lisów, 17 borsuków, 19 żbików, 23 kuny, 87 tchórzy, 162 łasice, 137 jeży, 624 różnych drapieżników czworonożnych, oraz 7 orłów, 69 jastrzębi, 126 kań i myszołowów, 319 sokołów, 132 sowy, 2,288 srok i wron, 511 różnych; razem 4,796 szkodników. Ogółem 18,069 sztuk.

Drobiazgi myśliwskie.

Cofnięcie zakazu. W dniu 21-ym ub. mies. cofnięty został zakaz sprzedawania rewolwerów i ładunków rewolwerowych w warszawskich składach broni. Policya, która na czas trwania tego zakazu, wydanego przez czasowego generał-gubernatora wojennego, zabrała ładunki i rewolwery na przechowanie, zwróciła je składnikom warszawskim. Obecnie więc handel bronią i ładunkami nie podlega żadnym ograniczeniom, i każdy, kto posiada pozwolenie, może się zaopatrzyć w broń palną, jaką uważa dla siebie za odpowiedniejszą.

Nauka strzelania. W dzisiejszych czasach niespokojnych, gdy zwykli bandyci i zbrodniarze, podszywając się pod miano jakiejś partyi skrajnej, dopuszczają się rozbojów i grabieży, przekraczających śmiałością wszelkie oczekiwania, zmuszeni jesteśmy siłą okoliczności do zaopatrywania się w broń, służącą do obrony życia własnego. Naturalnie, rewolwery w danym razie grają rolę pierwszorzędną. Władza, pojmując, że odporność wśród społeczeństwa na co dziennie praktykujące się zbrodnie, może się zbudzić tylko wówczas, gdy spokojny obywatel będzie miał możność legalnego noszenia przy sobie broni, nie czyni trudności przy wydawaniu pozwoleń na utrzymywanie rewolwerów. Wobec tego, bardzo wielu dziś zaopatruje się w tę broń, która nietylko daje możność obrony życia własnego, ale wielu odważniejszym da

też możność przyjść z pomocą napadniętym. Dotychczas niepodobna było żądać, aby człowiek z gołemi rękoma bronił napadniętego przez uzbrojonych opryszków; byłby to czyn nierozsądny i bezcelowy. Mając jednak broń w ręku i trochę dzielności w duszy, każdemu łatwiej przyjdzie spełnić ten obowiązek społeczny i czysto ludzki, jakim jest niesienie pomocy zagrożonym przez zbrodniarzy, współobywatelom.

Należy jednak zwrócić uwagę, że w danym wypadku nie dość jest posiadać broń,—trzeba też umieć nią władać, trzeba posiadać sztukę strzelania i pewną w tem strzelaniu wprawę. Szybkość strzału polega zawsze na wprawie, na obyciu się z tą właśnie bronią, którą się ma w ręku. Najlepszy strzelec daleko więcej zużyje czasu na dobry strzał z obcej mu broni, aniżeli z własnej. To też, nabywszy rewolwer, należy pewną ilość strzałów z niego wypuścić i co pewien czas dla wprawy strzelanie takie powtarzać.

I jeszcze jeden wzgląd, niezmiernie ważny, skłania nas do zalecenia wprawy w strzelaniu z własnego rewolweru, mianowicie wzgląd psychologiczny. Gdy ręka, uzbrojona w rewolwer, ma pewność strzału, ubywa strzelającemu ta niepewność, jaką mieć musi każdy strzelec niewprawny,—czy aby strzał będzie skuteczny. Brak tej obawy o wiele polepsza sytuacyę strzelającego w chwili krytycznej, dając wielki atut w rękę napadniętemu, czy obrońcy.

Zresztą, jeżeli napadający zbrodniarze nie zaniedbują wprawy w strzelaniu z broni, z którą napadają, to niemniej i broniący się nie powinien zaniedbywać nauki strzelania z własnych rewolwerów. Baczyć należy, że i bez tego napadający, jako zdecydowany na czyn i do niego uprzednio przygotowany, ma znaczną nad napadniętym przewagę. Niechże i ten, który w użyciu broni ma na celu jedynie obronę własnego lub bliźniego życia, stara się do tego być zupełnie gotowym.

Sępa brunatnego (*Vultur monachus*) zabito w tych czasach w majątku hr. Zygmunta Wielopolskiego, Ostrowiec (gub. radomska). Przypominamy, że tego rzadkiego ptaka zabił przed kilku laty p. Michał Siemiradzki w Rozalinie, pod Łochowem.

Plaga królicza. Jeden z hrabiów, o niemieckiem nazwisku, posiadający majątek w powiecie nieszawskim, przed laty dziesięciu sprowadził z zagranicy kilkadziesiąt par królików szarych, znacznie mniejszych od naszych zajęcy, i króliki te rozpuścił po lasie, gwoli rozmnożeniu ich dla rozrywek myśliwskich. Skutki tej hodowli są bynajmniej niepożądane, króliki bowiem tak się rozmnożyły, że opanowały już lasy w powiatach: nieszawskim, koneckim, włocławskim, tureckim, kolskim, kaliskim. Największe szkody w zagajnikach leśnych i na polach, wyrządzają króliki w majątku hr. Bnińskiego; w Osieku Dużym, Obrębach, Wyrąbkach (pow. nieszawski); w Sanowie (pow. włocławski); Wokowy, Kiejsce i Ossów (pow. kolski); Biała Panieńska (pow. konecki); w lasach hr. Kreutza i hr. Thola, oraz w Dębach (pow. kaliski). Zarząd lasów rządowych, w których zagnieździły się również króliki, zawiadomił o tej szerzącej się pladze króliczej wydział leśny przy ministeryum rolnictwa w Petersburgu.

Słonki na Węgrzech. Z rewiru myśliwskiego Bellye-es, należącego do arcyksięcia austryackiego, a położonego w Föherczeglak komitatu Baranga Parmegye na Węgrzech południowych, donoszą do pism myśliwskich, że podczas tegorocznych polowań dworskich, które trwały od 15 do 24 marca, ubito 267 sztuk słonek na ciągu.

Orzeł w Bawaryi. Niedawno ubił dozorca polowań księcia bawarskiego, Józef Trenkle, orła łomignata, którego szerokość skrzydeł rozłożonych mierzyła 2 m. Jest to rzadkość w tych stronach, gdzie od dziesiątków lat nie ubito żadnego orła.

W sprawie handlu zwierzyną. II-gi kongres pruskiego związku handlującego zwierzyną, niedawno odbyty w Berlinie, postanowił wystąpić z petycyą o zabronienie całkowicie drogą prawodawczą, odstrzelenia koźląt sarnich. Jako znak rozpoznania tych koźląt służyć ma odtąd nietylko ukształtowanie zębów, lecz waga zwierzyny, a mianowicie za koźlęta nie będą uważane tylko te sarny, które ważą już czternaście kilo.

ZAPYTANIA i ODPOWIEDZI.

Zapytanie Nr. 3. Posiadam ekspres Sanera cal. 577 wagi 9½ funta, zamknięcie Greenera, lufy stalowe Kruppa, długości 70½ cm. Strzelam z niego nabojem 8½ grama prochu perłowego *F*. Waga kuli ze zwykłego ołowiu 33½ grama. Długość gilzy 70 mm. Oddanie średnie, celność i rdzenność strzału bardzo dobre. Czyby nabój prochu czarnego nie dał się zastąpić bezdymnym, jakim i w jakiej ilości bez szkody dla broni?

J. Konczewski.

Odpowiedź Nr. 3. Z naszych prochów małodymnych („Sokół" i „Liszewa") żaden nie nadaje się do ładunków ekspresowych. Najlepsze jeszcze rezultaty dał w tym razie proch Liszewa, ale i te nie są zadawalniające. Niemcy posiadają przynajmniej z 10 gatunków prochów karabinowych; u nas tego niema. Istnieje wprawdzie jeden gatunek, a mianowicie rządowy proch *D*, lecz tego w handlu wcale niema.

Jan Sztolcman.

Treść Nr. 11 „Łowca Polskiego".

Przegląd krajowych ssaków łownych. *Jan Sztolcman.* (ciąg dalszy). — Jak leczono psy sto lat temu (ciąg dalszy). — W podróżnikowej Afryce 1905 r. *Jan Sztolcman* (ciąg dalszy). — Notatki myśliwskie z Dalekiego Wschodu. *Józef hr. Potocki* (ciąg dalszy). — W północnej Persyi. *Wł. Czerniejewski* (ciąg dalszy). — Niebezpieczeństwo od dzika. *J. Konczewski.* — Polowanie na wydry. *A. Sztolcman.* — Polowanie u Koziełły-Poklewskiego. — Napady wilków. *J. Sierociński.* — Korespondencye „Łowca Polskiego". — Z Towarzystwa prawidłowego myślistwa. Wykazy myśliwskie. — Drobiazgi myśliwskie: (Cofnięcie zakazu). (Nauka strzelania). (Sęp brunatny). (Plaga królicza). (Słonki na Węgrzech). (Orzeł w Bawaryi). (W sprawie handlu zwierzyną). — Zapytania i odpowiedzi.

W felietonie: Pudło. *Lela Kieniewicz* (dokończenie).

Ilustracye: Kaczory.

Prenumerata **„Łowca Polskiego"** wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie 1 rub. 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop. kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków, półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 franków.

Pojedynczy numer „ŁOWCA POLSKIEGO" 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„ŁOWCA POLSKIEGO" prenumerować można: w Kantorze Administracyi „ŁOWCA POLSKIEGO" Warecka 15, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do „Łowca Polskiego" adresować należy:

Smolna 34, w Warszawie.

KALENDARZ MYŚLIWSKI

ilustrowany **na 1906 rok**

pod redakcyą „Łowca Polskiego"

wyszedł z druku

nakładem Warszawskiej Spółki Myśliwskiej

i jest do nabycia

w Składzie broni Spółki Myśliwskiej (Królewska 17), w Redakcyi „Łowca Polskiego" (Warecka 15) i we wszystkich księgarniach.

Cena egzemplarza w oprawie 75 kop., bez oprawy 60 kop.

z przesyłką pocztową w oprawie 1 rb., bez oprawy 85 kop.

Do nabycia we wszystkich księgarniach i w Redakcyi „Łowca Polskiego" (Warecka 15).

Nad Nilem Niebieskim

przez **Jana Sztolcmana**

z ilustracyami **Józefa Rapackiego**.

Jest to nieznmiernie interesujące sprawozdanie z łowieckiej wyprawy do Sudanu hr. Józefa Potockiego, któremu towarzyszył autor niniejszego dzieła. Żywo kreślone notatki myśliwskie i opisy przygód łowieckich, zdobią liczne fotografie, zdejmowane przez uczestników wyprawy która była pierwszą myśliwską wyprawą w tej, mało jeszcze znanej sportsmenom krainie.

Wydanie ozdobne z kolorowaną okładką.

Cena rb. 5.

Prenumeratorowie „ŁOWCA POLSKIEGO" mogą otrzymać to dzieło w Redakcyi (Warecka 15) po 4 ruble.

Jaja z gwarantowanemi 85% płodności

oraz żywe angielskie, obrączkowe, mongolskie, Prince of Wales, królewskie, versicolor—bażanty, Tinamus, kuropatwy są do sprzedania.

Bażanterya Weisskollm

przez Lohsa na Śląsku. Niemcy.

NAKŁADEM REDAKCYI

„Łowca Polskiego"

wyszły następujące dzieła myśliwskie:

Jan hr. Ostroróg „Myślistwo z ogary" t. I — 75 k.

C. Cronau „Bażant łowny, jego pokrewne gatunki i krzyżowania. Historya i hodowla bażanta oraz zakładanie bażantarni" z rysunkami tom I — 1.50 k.

Goedde „Hodowla bażantów" t. I — 1.— „

Rudolf Weber „Żelaza i pułapki myśliwskie" t. I — 75 „

Ernest v. Dombrowski „Myśliwy jako preparator i kolekcyonista" t. I — 50 „

Jul. Biesiekierski „Kuropatwa szara czyli pospolita" t. I z ilustracyami — 80 k.

Wiktor Stephan „Sarna" t. I z rysunkami — 50 „

Wiktor Stephan „Zając pospolity" t. I — 70 „

Ernest hr. Sylva-Tarouca „Hodowca a myśliwy" t. I — 1.20 „

Dr. Maxeister Neum „Żywienie jeleni i sarn" t. I — 60 „

Dr. O Hilfreich „Pies zdrowy i chory" z rysunkami t. I. — 1.— „

Karol Lancaster „Sztuka strzelania i polowania" z rys. t. I. — 80 „

Dzieła te są do nabycia w Redakcyi „Łowca Polskiego" (Warecka 15) i we wszystkich księgarniach.

Skład główny w księgarni

K. TREPTEGO

(w Warszawie, Marszałkowska 149).

Leśnik: Czech, żonaty bezdzietny, mówiący i piszący po polsku, czesk., węgiersk., niem. i nieco po rosyjsku. Egzamin. państwowy zagranicą. Obeznany z eksploatacyą lasów, zakładaniem szkółek. „**Specjalista**" w urządzaniu i prowadzeniu polowań, w hodowli bażantów i tresurze psów legawych. Świadectwa chlubne ze słynnych rewirów Austro Węgier. Może złożyć kaucyę. Poszukuje posady leśniczego lub łowczego.

Łaskawe oferty uprasza pod

„Bland-Specjalista" Sopraśl, gub. Grodzieńska

Leśnik

młody, żonaty, z wyższem wykształceniem i 8-o letnią pracą praktyczną, przyjmie odpowiednią posadę.

Oferty przyjmuje

W-ny Jan Niecieńgiewicz,

Warszawa, Chmielna 72 m 12.

Redaktor i wydawca Jan Sztolcman. Druk Piotra Laskauera i Sp. Warszawa, Nowy-Świat 41.

Nr. 12. *Warszawa, d. 16 Czerwca 1906 r.* *R. VIII*

Łowiec Polski

Kantor Redakcyi „Łowca Polskiego:" Warecka 15 w Warszawie.
(Listy do Redakcyi „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 34).

KALENDARZYK MYŚLIWSKI.

W czerwcu wolno polować na: dziki, łosie (byki), sarny (rogacze), głuszce (koguty), cietrzewie (kouty), jarząbki (koguty) i kaczory.

Łunacja w czerwcu.

Nów d. 21 o g. 12 m. 30 pn.
Pierw. kw. d. 29 o g. 3 m. 43 pp.

Wschód i Zachód Słońca

w czerwcu

Dnia	Wschód		Zachód	
	g.	m.	g.	m.
16	3	39	8	22
17	3	39	8	23
18	3	39	8	23
19	3	39	8	23
20	3	39	8	24
21	3	39	8	24
22	3	39	8	24
23	3	39	8	4
24	3	39	8	24
25	3	40	8	24
26	3	40	8	24
27	3	41	8	24
28	3	41	8	24
29	3	42	8	24
30	3	42	8	24